

PAUza

Akademicka



Rok XVII

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności Nr 703 Kraków, 24 października 2024

pauza.krakow.pl

pau.krakow.pl

Indolencja, lenistwo, czy zła wola?

15 czerwca Walne Zgromadzenie Polskiej Akademii Umiejętności wybrało nowy Zarząd na kadencję 2024–2027. Zgodnie z obowiązującym statutem, Zarząd PAU składa się z pięciu osób: prezesa, dwóch wiceprezesów (przy czym jeden z środowiska warszawskiego), sekretarza generalnego oraz delegata Walnego Zgromadzenia, który faktycznie pełni funkcję zastępcy sekretarza generalnego.

W tegorocznych wyborach swoje stanowiska utrzymali: prezes (prof. Jan Ostrowski, historyk sztuki), wiceprezes z Krakowa (prof. Andrzej Mączyński, prawnik) oraz sekretarz generalny (prof. Szczepan Biliński, przyrodnik). Nowym wiceprezesem z Warszawy został prof. Marek Safjan, prawnik, a nowym delegatem Walnego Zgromadzenia prof. Janusz Kruk, archeolog.

Statut Akademii mówi, że nowo wybrany Zarząd winien być zatwierdzony przez Prezydenta RP. Jest to pozostałość z czasu, gdy Towarzystwo Naukowe Krakowskie zostało podniesione do rangi Akademii przez miłośnicie wówczas panującego cesarza Franciszka Józefa I. Zgadzając się w 1872 roku na powołanie Akademii Umiejętności, cesarz zastrzegł sobie i swoim następcom prawo do zatwierdzania każdorazowego Zarządu. Po odzyskaniu niepodległości, w przywiązaniu do tradycji Krakowie, przeniesiono to uprawnienie na urząd Prezydenta RP, uznając, że podnosi to rangę Akademii. Sprawa wydawała się czysto ceremonialna i rzeczywiście przez cały okres II Rzeczypospolitej wszystkie Zarządy PAU były bez problemu akceptowane przez głowę państwa.

Problemy zaczęły się po wojnie, gdy nadeszła nowa władza. Najpierw, w 1952 roku, Akademię pozbawiono majątku, przekazując go nowo powstałej Polskiej Akademii Nauk. Formalnie Akademia Umiejętności nadal istniała (pomimo nacisku władz Walne Zgromadzenie nie zgodziło się na jej rozwiązanie), straciła jednak możliwość realnego działania. Niemniej w kilka lat potem, na fali październikowej odwilży 1956 roku, członkowie PAU spróbowali rozpocząć pracę i wybrali nowy Zarząd. Prezesem został prof. Adam Krzyżanowski, ekonomista, wiceprezesem prof. Mieczysław Jeżewski, fizyk, sekretarzem generalnym prof. Adam Vetulani, historyk prawa, a delegatem Walnego Zgromadzenia prof. Jan Olbrycht (medycyna sądowa). Ewidentnie sam kwiat polskiej nauki. Niestety, szybko objawił się pozorny charakter gomułkowskiej „odwilży”: Rada Państwa (pełniący w PRL funkcję Prezydenta) zignorowała wniosek o zatwierdzenie, pozostawiając pismo bez odpowiedzi, tym samym odmawiając zatwierdzenia Zarządu i przedłużając letarg PAU na następne 33 lata.

Ponieważ była to władza komunistyczna, z zasady nie dopuszczająca żadnych niezależnych instytucji, nikt się specjalnie nie zdziwił.

Pozostaje zagadką, dlaczego nie odrzucono wniosku formalnie, tylko pozostawiono bez odpowiedzi. Być może, nikt nie chciał się podpisać pod tak haniebnym dokumentem. Władze PRL dobrze wiedziały, że *scripta manent*, więc lepiej nie podpisywać wstydlivego pisma, jeżeli można tego uniknąć. Bo może ktoś po latach zajrzy do archiwum...

Trzeba było więc czekać aż do 1989 roku, gdy upadek realnego socjalizmu umożliwił wreszcie pełne wznowienie działalności PAU, teraz już w wolnej Polsce. Wydawało się, że wszystkie formalne kłopoty to już przeszłość.

Życie jednak, jak wiadomo, jest pełne niespodzianek. Bo oto właśnie teraz, po 35 latach owocnej pracy, z powodów bliżej nieznanych Akademia już przeszła 4 miesiące oczekuje odpowiedzi Pana Prezydenta Andrzeja Dudy na wniosek o zatwierdzenie nowo wybranego Zarządu.

Oczywiście nie potrafię w tej chwili odgadnąć, czy jest to wynik indolencji i bałaganu w kancelarii Pana Prezydenta, czy może zwyczajnego lenistwa urzędników, którzy właśnie zrobili sobie wakacje. Nie można też, sądzę, wykluczyć, że ktoś próbuje zdyskredytować Pana Prezydenta, wstrzymując w tym celu normalny bieg papierów w kancelarii.

Bo trudno byłoby mi przyjąć, że to sam Pan Prezydent postanowił zastosować metodę wypróbowaną 68 lat temu przez władców PRL, czyli odrzucić wniosek o zatwierdzenie bez wyjaśnienia przyczyn. W dodatku nawet tchórzliwie odmówić przyznania się „na piśmie” do takiej decyzji.

Naprawdę nie potrafię uwierzyć, żeby Prezydent Rzeczypospolitej świadomie postąpił według schematu wypracowanego przez komunistyczną władzę. Pozostaje mi więc tylko pokornie zaapelować o zdyscyplinowanie pracowników kancelarii na tyle, żeby nie kompromitowali najważniejszego urzędu w państwie. Nadto o pouczenie ich, że Polska Akademia Umiejętności to zasłużona Instytucja Narodowa, której należy się szacunek i poważne traktowanie, a więc przynajmniej uczciwe wyjaśnienie, co stało się przyczyną tak drastycznej decyzji.

Starożytna anegdota mówi, że do Filipa Macedońskiego, ojca Aleksandra, zwróciła się kiedyś pewna starsza kobieta z prośbą, aby zajął się jej sprawą, która czekała na rozstrzygnięcie. Gdy Filip odpowiedział, że nie ma na to czasu, kobieta krzyknęła: JEŻELI NIE MASZ CZASU, TO NIE BĄDŹ KRÓLEM!

ANDRZEJ BIAŁAS

Przestroga

Przypominając dramatyczne wydarzenie sprzed stu lat, Grzegorz Gauden napisał bardzo aktualną książkę pt. *Polska sprawa Dreyfusa. Kto próbował zabić prezydenta*¹.

Sto lat temu (we wrześniu 1924 roku) dokonano we Lwowie zamachu na prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego, który odwiedzał „Zawsze Wierne” miasto. Rzucona bomba nie wybuchła, spłonęła, a obecna wśród zgromadzonej publiczności tancerka Teatru Wielkiego, Maria Pasternakówna, złapała za ramię stojącego obok młodego studenta, Stanisława Steigera, wołając, że to on jest sprawcą. Steiger był Żydem, co natychmiast wywołało lawinę komentarzy powtarzanych głośno w zbiegowisku, które też bardzo szybko pojawiły się w prasie: „Łotrowską tą prowokacją, łajdactwem wybitnie żydowskim, nie wahającym się przed żadną zbrodnią, choćby najpotworniejszą, gdy chodzi o ratowanie >>swojego<<, a pogrążenie w odmęt >>goja<<, żydzi znowu zdemaskowali się w całej postaci swej rasowej natury” („Słowo Polskie” 1924).

Autor poprzedził tym i podobnymi cytatami szczegółowe sprawozdanie z dwu procesów wytoczonych pochopnie, a jak się okazało, niewinnie oskarżonemu Steigerowi. Wyjątków z towarzyszącej procesom prasy jest w książce sporo i to bezdyskusyjnie uwiarygodnia prezentację faktów, jakie u czytających po stu latach wywoływałyby niedowierzanie. Te cytaty przemawiają mocniej, niż byłoby to udziałem opinii autora. Trudno bowiem dzisiaj uwierzyć w, mówiąc najkrócej, powszechność antysemityzmu, którego się wstydzimy, który ukrywamy i wypieramy, ten sprzed stu lat uważając za miniony. Piszący o procesach Steigera nie musieli się zastrzegać ani w jakikolwiek sposób tłumaczyć, posądzenie o zamach Żyda było niejako automatycznie wiarygodne, zanim sąd rozpoczął dochodzenie.

Współcześni czytelnicy gorszymy się tym, wspierając stuletnim dystansem, który mieści Holocaust, a przyniósł właśnie kłopoty z migrantami różnych wiar, kultur, kolorów skóry...

Nie odżyją postęпки, jakich doznał Steiger w stronicznych procesach, nie powtórzy się dosłownie retoryka „Gazety Codziennej”. Ale lektura o tamtych zdarzeniach nie uspokaja. Nie poprzestajemy po niej na smutnym zadziwieniu, że coś takiego działo się w mieście – ośrodku uniwersyteckim, zasłużonym dla kultury, zamieszkanym przez spore środowisko inteligenckie. Nie ma w książce zapisu o głosach sprzeciwu wobec nagonki, autor zapewne by je zamieścił – z otuchą, jak i z satysfakcją referuje wystąpienia sądowe obrońcy, mecenasa Michała Greka (jedyne go wśród obrońców nie-Żyda), który wytrwale i jak miało się okazać skutecznie, wykazywał niewinność oskarżonego.

Polska sprawa Dreyfusa... nie jest thrillerem historycznym, jak się tego spodziewamy, zaczynając lekturę. Nie uśmierza rozterek oddaleniem w czasie. Bardzo szybko domyślamy się, że Stanisław Steiger został oskarżony na podstawie mało wiarygodnych danych i od tego momentu uwaga czytelnika skupia się na tym, co stanowi społeczne tło, tj. nastrojach, a właściwie postawach antysemickich. Okazują się zaskakująco powszechne i ugruntowane. Artykuły prasowe nie uzasadniają uprzedzeń, nie próbują szukać źródeł niechęci (nienawiści), odwołują się do ugruntowanej opinii szerokich kręgów, zaskoczonych tym razem wyjątkowym „łotrostwem” Żydów. Wiadomości związane z zamachem padają na przygotowany grunt bezdyskusyjnego antysemityzmu.

Lekcją z tego jest potrzeba, raczej konieczność, zweryfikowania naszego stosunku do innych. Oczywiście, już chyba dla każdego, jest ruchliwość mieszkańców różnych miejsc świata, która nie ustanie, lecz będzie rosła. Niepodobna negować wynikających stąd kłopotów, wiadomo, że będzie ich przybywać. Chcąc nie chcąc, musimy zrewidować nasz stosunek do przybyszów, zawsze pod jakimś względem, czasem w przeważającej mierze, innych. Tym właśnie przymiotnikiem: i n n y powinniśmy ich określać, unikając słowa: obcy, w którym zawarte są nieufność i podejrzliwość. Wiąże się to z głębszą przemianą wewnętrzną – z przyznaniem, że nie zawsze i nie we wszystkim jesteśmy najlepsi, zatem oczekiwaniem, że powinni nas naśladować, a jeśli ktoś wśród nas zamieszka, powinien to czynić bezdyskusyjnie. Migracje narodów są okazją do sporządzania bilansów i trzeba przy tym uważać, żeby nie ulegać pokusie samochwalstwa, choćby skrytego, bo to przeszkadza w relacjach z innymi, kimkolwiek są.

Książka o stuletnim antysemityzmie jest smutną przestrogą dla nas, współczesnych obywateli Europy. Można jednak znaleźć w niej źródło otuchy, bo nie zawiera najmniejszego akcentu usprawiedliwiającego fobię sprzed stu lat. No i dlatego, że lwowski sąd przysięgłych uwolnił Stanisława Steigera od fałszywego zarzutu zamachu na prezydenta.

„W protokołach przesłuchań roi się od antysemitycznych epitetów, stereotypów i oskarżeń, których autorami są polscy śledczy. To język pogardy i nienawiści. Taką polszczyznę kształtowała, takiej używała ówczesna polska inteligencja: prawnicy, dziennikarze, księża, pisarze, politycy. Elity. Agresywny antysemicki, a także antyukraiński język jest wszechobecny w prasie narodowej tamtego czasu. Polskie słowo >>odżyzdzenie<< jest rodzonym bratem odrobaczenia, odszczurzenia, odwszenia, odgrzybienia. Parch, żydłak, żydzisko, żydowica, hajdamak, hajdamactwo, to słowa rodzime” (z *Posłowia*).

MAGDALENA BAJER

¹ Grzegorz Gauden, *Polska sprawa Dreyfusa. Kto próbował zabić prezydenta*, Agora, Warszawa 2024.

Czy publiczne mówienie nieprawdy powinno być bezkarne?

Wypowiadałem się już na łamach PAUzy, jak ważna we współczesnym świecie jest umiejętność odróżniania informacji prawdziwych od fałszywych, tym bardziej że jesteśmy zalewani ogromem informacji fałszywych.

Jednym z głównych źródeł nieprawdziwych wiadomości są publiczne wypowiedzi różnych osób uważających się za autorytety, które nie tylko z dużą pewnością siebie zabierają głos w sprawach wykraczających poza zakres ich kompetencji (zgodnie z regułą Dunninga-Krugera), ale również świadomie mijają się z prawdą. Ta druga ewentualność dotyczy głównie oszustów różnego autoramentu i polityków (a nie są to grupy w pełni rozłączne).

Ponoć kłamiemy 2–200 razy dziennie. Przyczyny świadomego minięcia się z prawdą bywają różne, głównie egoistyczne: chęć postawienia siebie lub grupy, z którą się utożsamiamy, w lepszym świetle przez ukrycie pewnych cech czy czynów, lub przypisanie sobie/grupie innych, które nie miały lub nie mają miejsca. Niekiedy kłamiemy z przyczyn altruistycznych (chęć oszczędzenia komuś przykrości). Zwróćmy uwagę, że ósme przykazanie Dekalogu formułuje zakaz kłamstwa w formie dość oględnej: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu swemu”. Choć dyskusja o znaczeniu tego przykazania złożałaby się na wiele tomów, proste odczytanie tego przekazu wydaje się następujące: nie wolno kłamać w taki sposób, by przynosiło to szkodę innej osobie. Przykazanie nie rozstrzyga o innych sytuacjach, jakkolwiek nie jest łatwo ocenić, jakie będą skutki mojego kłamstwa dla innych osób. Jeżeli skłamię, biorąc na siebie winę innej osoby lub nie przyznając się do ukrywania przestępstwa, może ją to uchronić przed ewentualną karą. W reżimie totalitarnym może to opozycjonistę uratować przed śmiercią czy długoletnim więzieniem, ale czy w mniej drastycznych okolicznościach nie skłoni to osoby uchronionej za sprawą naszego kłamstwa przed karą do dalszego niewłaściwego działania? Zależy to od konkretnego przypadku, ale problem jest złożony – nierzadko nie jesteśmy w stanie przewidzieć odległych czy ubocznych skutków naszego minięcia się z prawdą.

Prawo jest w kwestii kłamstwa jeszcze bardziej liberalne niż Dekalog. Możemy liczyć się z procesem sądowym, jeśli w wyniku kłamstwa naruszamy czyjeś dobro osobiste. Jest to zniesławienie i podlega artykułowi 24 kodeksu cywilnego i artykułowi 212 kodeksu karnego. Ten ostatni mówi, że „ściganie [tego] przestępstwa odbywa się z oskarżenia prywatnego”.

Jednak publiczne świadome mówienie nieprawdy nienaruszające czyjegoś dobra osobistego w ogóle, czy nie na tyle agresywne, by kończyło się pozwem, jest zupełnie bezkarne i odbywa się w ramach wolności wypowiedzi, która jest niezaprzeczalną, choć w tym przypadku nadużywaną wartością. Publiczne mówienie nieprawdy może być wynikiem niewiedzy czy opierania się na fałszywych informacjach, ale nierzadko ma charakter świadomy i jest motywowane dążeniem do osiągnięcia propagandowych czy biznesowych korzyści. Zwrócono ostatnio uwagę, że jeden z kandydatów na prezydenta

USA skłamał publicznie około 30 razy w ciągu jednej debaty i w jego przypadku jest to raczej normą niż ewenementem. Świadomie nie odwołuję się do przykładów z rodzimego podwórka.

Publiczne wygłaszanie kłamstw może zniechęcić do polityka, ale może też mieć zupełnie inny efekt – jego zagorzali zwolennicy często wierzą w nie bezkrytycznie i powtarzają, powołując się na autorytet swojego idola. Odbiorcy przekazywanej informacji są więc oszukiwani i może to prowadzić do nieracjonalnych zachowań, szkodliwych dla nich i dla innych osób (np. unikanie szczepień przeciw chorobom zakaźnym, wzmocnienie argumentów populistów, sukces wyborczy kandydata szermującego populistycznymi hasłami dalekimi od prawdy), czy strat materialnych. W przypadku nieprawdziwej wypowiedzi skutkującej stratami materialnymi można spodziewać się reperkusji w postaci pozwów, ale w innych z reguły nie. Co oznacza, że w praktyce można bezkarnie kłamać publicznie (wdzięczny będę za ewentualną korektę tego stwierdzenia, bo moja znajomość prawa nie jest imponująca). Oczywiście, należy liczyć się z krytyką innych polityków czy internautów, ale każdy polityk obrzucany jest tyloma oskarżeniami, że znaczenie tych kilku krytycznych kropli związanych z mówieniem nieprawdy jest marginalne.

Czy zatem nie byłoby celowe prawne zadekretowanie publicznego świadomego mówienia nieprawdy jako wykroczenia zagrożonego karą? Sprawa z pewnością nie jest prosta. Potrzebne byłoby zmiany prawa i powołanie instytucji typu prokuratorskiego, wykrywającej i zbierającej doniesienia o kłamstwach publicznych, występującej następnie do sądów z wnioskami o ukaranie kłamców.

Praktyczne egzekwowanie zakazu kłamstwa publicznego nie byłoby proste. Kłamcy tłumaczyliby się, że kłamliwa wypowiedź była przejęzyczeniem lub powtórzeniem innej publicznie wyrażonej czy opublikowanej opinii. Nic nie stałoby jednak na przeszkodzie, by sięgnąć do tych źródeł i wszcząć procedurę przeciwko nim. Niejednokrotnie takie odwołania prowadziłyby do publikacji naukowych czy pseudonaukowych, ale i tu istniałaby możliwość ustosunkowania się do rzetelności badań czy pseudobadań i publikujących je czasopism. Kłamcy mogą tłumaczyć się, że wyrażali własne poglądy (do których każdy ma przecież prawo). Jest jednak różnica między stwierdzeniem: „moim zdaniem...” czy „w świetle dostępnej mi wiedzy”, a radykalną kategoryczną konstatacją w rodzaju „oczywiste jest, że ocieplanie klimatu jest wymysłem lewaków”.

Z pewnością wielu kłamstw nie udało się udowodnić, a ich sprawcom wymierzyć kar. Jednak sama świadomość istnienia takiego zagrożenia skłoniłaby mówców i autorów ich przemówień do większej przeczności i precyzji wypowiedzi, ograniczając zatruwanie nieprawdą umysłów tysięcy czy milionów odbiorców tych wiadomości, a niekiedy również do znaczącego wzbogacenia własnej wiedzy.

GRZEGORZ BARTOSZ

Kolegium Nauk Przyrodniczych
Uniwersytet Rzeszowski

Reforma Polskiej Akademii Nauk, czy właściwe finansowanie tej Instytucji?

W związku z proponowaną przez rząd reformą Polskiej Akademii Nauk pojawia się ostatnio w prasie szereg artykułów związanych z tą tematyką.

To, że rząd jako całość nie zna się na nauce, można pojąć, ale Ministerstwo Nauki znać się na niej powinno. Jeśli coś chce się zmieniać, najpierw należy zrozumieć, jak to coś funkcjonuje, i dopiero wtedy wprowadzać ewentualne modyfikacje.

Dam tutaj przykład: w Instytucie Farmakologii PAN im. Jerzego Maja prowadzone są m.in. badania nad nowymi lekami przeciwdepresyjnymi. Depresja to ogromny problem w skali kraju i świata, chorują na nią setki milionów ludzi, ale brakuje skutecznych leków. Jeżeli taki nowo odkryty lek zażyje 100 mln ludzi w skali całego globu i jeżeli koszt miesięcznej kuracji wyniesie 1000 zł (nowe leki zawsze są droższe), a rocznej 12 000 zł, to roczny zysk wyniesie 1200 miliardów złotych. Pomnożmy to przez czas trwania licencji (który w przypadku leku może wynosić 20 lat). Czy ktoś poza ministrem finansów rozumie, co znaczy dla kraju 1200 miliardów rocznie przez 20 lat?

Gdyby państwo zainwestowało kilka miliardów w taki program, to nasz kraj mógłby się stać jednym z najbogatszych na świecie. A zyski by pozwoliły finansować oświatę, zdrowie, a nawet armię. I tak powinny działać rozumne rządy: inwestować w naukę, rozwój i wynalazki. Zyski z tego pokryją wszystkie inne potrzeby.

Żeby skutecznie finansować instytucje naukowe, należy wyszukać te najlepsze. Niestety stosowany w kraju system oceny jednostek naukowych został zdegenerowany, stał się sztuką dla sztuki i należy go zmienić.

A gdyby tak zastosować do oceny jednostek system Uniwersytetu Stanforda, który przedstawia listę naukowców znajdujących się wśród 2% najczęściej cytowanych badaczy na świecie? Nazwijmy ją listą S. Znalazło się na niej 1245 naukowców z Polski. W kraju pracuje (w przeliczeniu na pełne etaty) 72 556 badawczy (patrz „Forum Akademickie” 2024/3 – raport OPI), a zatem 1,71% z nich znalazło się na liście S.

Zaletą takiego podejścia do oceny – jest jego bezkosztowość i fakt, że w ciągu kilku dni można ocenić wszystkie jednostki naukowe w kraju we wszystkich dziedzinach badawczych. Można też, w oparciu o liczbę cytowań, która jest chyba najlepszą wykładnią jakości w nauce, stworzyć własny algorytm w tym celu.

Gdyby każdemu z listy 2% dać 1 mln zł rocznie na badania, to po odjęciu osób zmarłych i emerytowanych, koszt wyniesie około miliarda zł rocznie i myślę, że będą to dobrze zainwestowane pieniądze. Co bardziej istotne, gdyby sfinansować kilka/kilkanaście najlepiej rokujących z praktycznego punktu widzenia badań dotacją w wysokości np. 100 milionów zł rocznie na jedno badanie, to zysk może być niewyobrażalnie wielki. Kraj, który to zrozumie, stanie się najbogatszy na świecie.

Przyjęta w 2000 roku strategia lisbońska zakładała, że Europa w roku 2010 wyda na rozwój i naukę 3% PKB. My w roku 2024 wydajemy na naukę i rozwój około 1,1% PKB! Za to przodujemy w wydatkach na armię.

Zatem panowie decydenci: premierzy i ministrowie – do pracy! Finansujmy naukę i zostańmy wzorem dla innych krajów naszego globu. Zamiast reformować PAN, należy zacząć tę instytucję odpowiednio finansować, podobnie jak i całą naukę.

ANDRZEJ PILC

Instytut Farmakologii PAN im. J. Maja
UJ CM, Kraków



WYDAWNICTWO PAU POLECA

PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzostowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.